

— Nikt nie pozostaje obojętny wobec zjawiska, jakim jest Krystyna Janda. Jedni Panią uwielbiają, innych denerwuje. Pani sposób bycia, agresja, przebojowość.

— Ja tego nie odczuwam. Żyję w zamkniętym kręgu ludzi. Ze studia radiowego przechodzę do studia telewizyjnego, a z niego na plan filmowy lub do teatru i ciągle obracam się wśród tych samych ludzi. Oni też mnie oceniają. Nie wiem więc, czy poza tym kręgiem jestem lubiana czy nienawidzona. Nie dostaję też korespondencji, a recenzje staram się czytać rozsądnie.

— A jednak będę się upierała, że i u nas istnieje coś, co można by nazwać mitem Jandy. Ludzi zaczyna teraz bardziej interesować Pani jako kobieta zajęta twórczością, niż dzieło, które tworzy.

— Nie mam tej świadomości. Nigdy też nie byłam rozpieszczona. Rzadko kto mi mówi, że dobrze zagrałam. Koledzy, dyrektor teatru, reżyserzy mówią mi o moich brakach, błędach — i słusznie. Nie żyję więc na fali „euforii”. Raczej przeciwnie. Żyję w ciągłym strachu i mam poczucie zagrożenia. Kiedy dostaję kolejną propozycję, boję się, że czegoś nie potrafię, czegoś nie wiem. Takie właśnie mam problemy. Wiem jak się uśmiechać czy podlizywać. Mogę nawet i lubić być miła. Uważam tylko, że w tym zawodzie nie mogę liczyć się z opinią i dla jej przychylności rezygnować z drastycznych środków wyrazu. Kiedy np. w „Dusi, Rybie...” policzkuję Basię Wrzesińską, to nie mogę się bać, że publiczność będzie się zrywała. Ja dokładnie wiem, że to mocny środek, ale dużo mówiący o postaci, którą gram. Jest cała gmatwanina różnych zależności w tym zawodzie. A ja musiałam podjąć decyzję kim chcę być, co bardziej mnie interesuje: czy popularność czy realizowanie wyobrażeń — nawet wbrew temu jak je przyjmie opinia publiczna.

— Bronię postaci negatywnych. Pani koledzy musieliby grać wbrew sobie. Dlatego częste odmawiają przyjęcia takich ról. Panią zaś można namówić na „coś złego”.

— Jeśli wiem, że tak właśnie wyglądać ma rola, to decyduję się na najdrastyczniejsze środki. Gram teraz Maud w „Dziękuję ci, Maud”. To bardzo trudna postać do „obrony”. Normalny człowiek, który przychodzi dzisiaj do teatru i patrzy na rozhisteryzowaną dziewczynę, która denuncjuje ojca tylko dlatego, że nie jest bohaterem, doznaje wrażeń raczej negatywnych. Czuję z widowni niechęć do postaci, którą gram. Ale decyduję się grać tak — jak myślę — chciała Przychylna, kiedy to pisała.

— Czyli odrzucając wszelką kokieteryję i tzw. półśrodki bierzemy Pani tę postać w obronę.

— Nawet mi mówią: „Krysiu, czy nie przesadzasz? A ja, że nie. Dlatego, że się zdecydowałam. Niech mnie nie lubią, ale jeśli choć 10 osób zrozumie z mojej roli, iż to jest akt ostatecznej desperacji i miłości do tego człowieka, że ta dziewczyna na nie może kochać kogoś, kto jest „niczym” to będę zadowolona. Skoro mam już grać taką rolę, to gram ją do końca. I tak robię za każdym razem: w „Człowieku z marmuru”, w „Bez zniczułenta”...

— Nie elenuje Pani swoich środków. Gra brutalnie, postępuje się ostrą kreską, wydobywa jedynie białe lub czarne strony człowieczej natury. Czy to nie splot pewnych problemów?

— Miałam takie zarzuty, że obdzierałam te postaci z niuansów. Może tak jest, ale staram się maksymalnie wypowiedzieć to, co chcę powiedzieć.

— O Pani prywatności wiemy niewiele i to tylko na podstawie ról. A wiedza to myląca, niepełna...

— Ale ja się po prostu wstydzę mojej prywatności. O ile to ode mnie zależy nigdy nie pozwalałam w nią wejść.



Fot. ZOFIA NASIEROWSKA

## KRYSTYNA JANDA:

# Ekscesy uprawiam tylko w sztuce

— Ludzie zazdroszczą Pani pewności siebie, przebojowości.

— W rzeczywistości to, nieprawda. Mam masę stresów, problemów, nigdy nie byłam z siebie zadowolona dłużej niż dwie godziny. Ciągłe się czegoś boję. Ten zawód jest jak powtarzany co trzy godziny egzamin z matematyki. I ja się cały czas czuję jak w sali egzaminacyjnej. Oczywiście Andrzej Wajda twierdzi, że kiedy przestanę się brać nie będę już taką aktorką, jaką jestem. „Jak trzęsą Ci się rączki — mów — to jest dobrze”.

— Czy to jest taka jest Pani w pracy nie jest wynikiem podobnych zachowań w życiu zawodowym. Niezadowolenie z siebie jako np. z żony czy matki nie wywołuje śpięć?

— Żyję raczej spokojnie, po mieszczańsku. Całe moje życie prywatne podporządkowane jest właściwie relaksowi. Ponieważ w pracy tak się spaliam, staram się w domu odsunąć od siebie wszelkie problemy.

— Mnie się wydaje, że z tym właśnie najtrudniej.

— Nie mam jakich specjalnych potrzeb. Nastawiona jestem na spokój, ciepło i pewien porządek w życiu. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż systematyczność i uregulowany tryb życia. To mi pozwala zachować równowagę psychiczną. Ciągłe zderzam się z różnymi opiniami na mój temat — i to raczej negatywnymi. Gdybym była mniej odporna zacząłabym coś zmieniać w sobie. Starałabym się podobać. Nic takiego nie robią. Ekscesy uprawiam tylko w sztuce.

— Wydaje mi się, że tak angażuje się Pani w to co robi,

że nie poza pracą dla Pani nie istnieje.

— Niektórzy uważają to za kobocystwo. Koledzy żartują sobie z aktorów zachowujących się na planie tak, jak postać, którą grają i nawet poza kamerą nie potrafiały się od niej oderwać. A mnie się to zdarza. Często jestem tak zrośnięta z postacią, że przez te 10 godzin pobytu na planie zapominam o własnej osobowości. Przejmuję na siebie reakcje — nawet organiczne moich bohaterów. To takie podświadome przygotowywanie się. Kiedy grałam np. Arletkę w „Murku” zachowywałam się na planie skandalicznie. Kiedy zaś Elżbietę w „Graniczy” — byłam bez zarzutu: spokojna, skupiona. Wpadałam dokładnie w taki nastrój jaki cechował te kobiety.

— Potrafił Pani powiedzieć, dlaczego tak się dzieje?

— To chyba takie przygotowanie do ciągłej dyspozycyjności psychicznej. Tyle jest rzeczy, które przeszkadzają przy pracy w filmie. To szalenie denerwująca maszyna, a ja nie potrafię wyłączyć się i czekać na sygnał: proszę grać. Cały czas chodzę w kostiumie, rozmawiam z przyjaciółmi, jem lody, ale jestem w tym jednym rytmie, który jest potrzebny do zagrania w ciągu zaledwie 10 minut. To dla mnie rodzaj samoobrony przed przeciwnościami.

— Filmowy debiut w „Człowieku z marmuru” był chyba dla Pani dużym przeżyciem? Wydawało mi się, że przerysowała Pani Agnieszkę, jakby za wszelką cenę chciała Pani udowodnić pewne jej racje.

— Robiąc ten film schudłam 7 kilo ze zdenerwowania i napięcia. Później nie miałam roli, która wymagałaby ode mnie tyle skupienia.

— Nie dziwię się Wajdzie, że do tego filmu wybrał Panią. Gdybym była reżyserem — mój wybór byłby taki sam. Zawsze podziwiałam w Pani tę zniewalającą siłę, która każe uważać że jest Pani lepsza od innych.

— Zdjęcia próbne przechylili ażalę na moją korzyść. Ale i w tym przypadku był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Ja tylko pomogłam szczęściu. Cała sprawa polega tylko na tym, by umieć pomagać tym przypadkom i wykorzystywać szanse, które daje „szczęście”.

— To Pani cały czas gra!

— W czasie zdjęć do „Człowieka z marmuru” byłam naprawdę zdenerwowana. Za dwa dni czekała mnie premiera w teatrze, a poza tym miałam bardzo niedobre doświadczenia z filmem. Parę razy — jako młoda aktorka — „obrażono” mnie tam. Byłam więc wtedy rozczłona i tak najeżona do filmu i ludzi przy nim pracujących, że zachowywałam się dość ryzykownie jak na młodą aktorkę, której zależy na roli. I chyba to właśnie. Andrzeja Wajdę zajęło. Wydawało mu się, że taka jest we mnie siła, taka godność... ale to tylko przypadek.

— Wydaje się, że ma Pani wielką wiarę w siebie. Chyba w dzieciństwie czuła się Pani zawsze dowartościowana.

— Było wręcz przeciwnie. Miałam i mam do dzisiaj stertę kompleksów. Kiedy robią mi zdjęcia — wstydzę się. Wejście na scenę i powiedzenie prywatnie dwu zdań, to dla mnie wielkie przeżycie. A śpiewać wstydzę się tak, że weszłabym pod krzesło. Ale, kiedy wiem co mam zagrać i wymyślę, co to ma znaczyć — nie wstydzę się niczego! I tak bardzo chcę przekazać to, co wymyśliłam na temat postaci, że przemienia się to w siłę i pewność siebie. Ale w gruncie rzeczy jestem nieśmiała (tu pewnie wszyscy uśmiechną się z powątpiewaniem). Nie mam tupetu, nie potrafię krzyknąć na nikogo, ani być tak bezczelna jak w rolach. Natomiast w momencie, kiedy coś sobie wymyślę, a ktoś mi mówi, że to „nie tak” — potrafię starać się 20 osób.

— Ma Pani niesamowitą zdolność przekonywania!

— Natomiast kiedy nie wiem, co mam grać, jestem kompletnie bezradna. Chodzę, wałęsam się i jestem nieszczęśliwa, dopóki pewnego dnia czegoś nie wymyślę.

— Nie potrafił Pani jednak bronić naiwności. Może dlatego, że tej cechy nie ma Pani w sobie. Aniela ze „Ślubów panińskich” była nieprawdziwa.

— Moja Aniela nie była postacią fredrowską. Zresztą, tak niewiele wtedy umiałam. To była moja pierwsza rola teatralna. Wiedziałam też jak bardzo różni się psychiką i temperamentem od tej postaci.

— Zawodowo żyje Pani bardzo aktywnie. Nie uważa Pani, że za bardzo skupiona jest Pani na sobie, że mało czasu poświęca rodzinie, dziecku?

— Odkąd urodziłam Marysię mam uczucie niepokoju w żołądku gdy jestem poza domem. Ale ona ma w tej chwili 5 i pół roku, a ja uspokajam się coraz bardziej. Nie obarczam jej swoimi problemami zawodowymi, a kiedy jestem wolna — cały czas poświęcam właśnie jej. W domu do niczego się nie przygotowuję, niczego nie uczę. Wszystko robię na próbach. To żelazna zasada. Mimo że zawód traktuję szalenie emocjonalnie, jestem ambitna — jak mówią „pazerna na pracę”, kiedy wracam do domu uwielbiam nic nie robić. Siedzę, oglądam telewizję, palę papierosy, czytam dziecku bajki, spotykam się na plotkach z przyjaciółkami. Tak zwyczajnie odpoczywam.

Rozmawiała:

MARTA SZTOKFISZ